

ADAM MICHNIK POLECA

# Przeżyli i ostrzegają: wojna to nie żarty



Byli więźniowie obozów mają ogromne doświadczenie i intuicję, której nie potrafimy słuchać. A uczą nas, że podczas wojny ludzie dziczeją. I myśmy z tego stanu zdziczenia nie wyszli do dzisiaj

Z **AGNIESZKĄ DAUKSZĄ\***, AUTORKĄ KSIĄŻKI „KLUB AUSCHWITZ I INNE KLUBY”, O PRZEŻYCIACH JEDNYCH Z OSTATNICH ŻYJĄCYCH BYŁYCH WIĘŹNIÓW OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH, ROZMAWIA **MACIEJ GRZENKOWICZ**

# M

**MACIEJ GRZENKOWICZ:** Po co kolejna książka o Auschwitz? Ten temat jest już wyeksploatowany.

**AGNIESZKA DAUKSZA:** W trakcie pracy nad książką „Klub Auschwitz” nabrałam całkiem innego przekonania. Mam wrażenie, że udało nam się - moim rozmówcom i mnie - uchwycić pewien zasadniczy, dotychczas mało eksponowany problem. Ta książka jest nieco inna od wcześniejszych: nie jest to opowieść o Holokauście i żydowskich ocalałych, tylko zapis moich spotkań z polskimi byłymi więźniami i więźniarkami niemieckich obozów koncentracyjnych. Nazwałam ich „przeżywcami” i „przeżywcami”.

Szybko się okazało, że krakowska wspólnota, do której trafiłam, nie jest zróżnicowana etnicznie, jak się spodziewałam. Dowiedziałam się, że słowo „ocalony” czy „ocalały”, którym określamy żydowskie ofiary, nie pasuje, kiedy mówimy o Polakach. Oni nie mówią, że ocalili - bo to kojarzy się z pasywnością - ale właśnie, że przeżyli.

Szukałam innego odpowiedniego terminu. Jakąś formą zastępczą mógłby być termin Zygmunta Baumana - „przeżytnik”. Jednak to słowo pobrzmiwa „przeżytnikiem”. W dodatku w „przeżytniku” zawiera się domknięcie aktu. A przecież ci ludzie wciąż żyją! Termin „przeżywca” chyba silniej oddaje to ciągle minione-obecne wydarzenie się życia i sugeruje też, jak sądzę, że przeżycie biologiczne nie gwarantuje ocalenia wrażliwości, tożsamości, mentalności, zarówno tej indywidualnej, jak i zbiorowej.

Musiałam zadać sobie elementarne pytanie: z kim rozmawiam? A naprzeciw mnie siedzieli wrażliwi 80-, 90- i stulatkowie, którzy decydowali się opowiedzieć praktycznie obcej osobie o największym cierpieniu swego życia.

**Ta nazwa wydaje się trochę zwierzęca. Czy to odskocznia od ciąglego nadawania cierpieniom więźniów wartości symbolicznej?**

- Chodziło właśnie o spotkanie tej zwierzęcości przetrwania z porządkiem symbolicznym. Przeżywca - to źle brzmi. Trudno to słowo wymówić, ono chrzęści. I rzeczywiście, ważne było dla mnie odejście od gładkich narracji, ekliwicznych opowieści o wojnie, rutynowego opowiadania o tym, co przydarzyło się polskiemu społeczeństwu podczas okupacji. Zwierzęcość wiąże się również z tym, że moi rozmówcy nie byli w stanie ocalić swojej wrażliwości. Przeżyli fizycznie, ale nie ocalili mentalnie.

„Klub Auschwitz” jest opowieścią o przemocy, upokorzeniu i zawłaszczeniu - w pierwszej kolejności rzeczywiście dotyczy tego, co niby wszyscy już znamy z podreczników: opresji



z strony niemieckiego okupanta. Ale czy aby na pewno mieliśmy okazję wysłuchać autobiograficznych opowieści o aresztowaniach, transportach, codzienności w obozach, ucieczkach z obozu lub wyzwoleniu? O tym właśnie zaświadczać przeżywcy.

Prosiłam ich także, aby opowiadali o ciągach dalszych - tym, co spotkało ich po wojnie. Zwykle tego typu opowieści zamykają się w 1945 r.: „No i przeżyłem/przeżyłam, koniec, kropka”. Kiedy pytałam tych ludzi: „Jak to koniec? Przecież żyje pan/pani do dziś”, byli skonsternowani, wydawało im się, że ich dalsze życie nikogo nie może zaciekawiać. A okazało się, że te powojenne losy często nie były łatwiejsze: społeczna stygmatyzacja, przemoc zadawana przez komunistów, włącznie z torturami podczas przesłuchań. Próbowano coś od nich wyciągnąć, upokorzyć ich, zmusić do współpracy.

Moi bohaterowie w ogóle nie mieli wielkiego szczęścia: najpierw prześladowali ich naziści, później komuniści, a po 1989 r. doświadczyli cynicznej obojętności wszystkich kolejnych władz, które używały kombatantów jako maski polityki pamięci. Tak się dzieje także dzisiaj.

**Ta książka miała się koncentrować na tym, co było po wojnie. A zarazem, kiedy przeżywcy chcieli usunąć jakieś fragmenty opowieści, dotyczyły one właśnie czasów komunizmu. Robili to ze strachu przed interwencją Rosji, jak pani pisze. Czy współczesność jest w takim razie dla nich ważna? Czy widzą analogie między sytuacją przedwojenną a obecną? Naprawdę boją się, że Rosja może napaść na Polskę?**

- Zwykle bardziej boją się strony rosyjskiej niż niemieckiej, mimo że przez kilkanaście miesięcy, a nawet kilka lat, byli w obozach niemieckich. Dziś umacnia się w nich strach przed ko-

lejnym wielkim konfliktem zbrojnym - oni czują, że coś nadciąga, choć bardzo tego nie chcą. Sam fakt, że taki konflikt jest dziś w ogóle możliwy do wyobrażenia, to według nich największy błąd i wina współczesnych polityków.

Oni wywodzą się ze skrajnie różnych rodzin i środowisk przedwojennych. Są wśród nich akowcy prześladowani w czasach PRL-u, są ludzie zupełnie niez zaangażowani politycznie, zdarzali się i tacy, którzy przez jakiś czas należeli do partii komunistycznej. Dzisiaj także różnią się poglądami - od lewa do prawa. A jednak większość z nich łączy przerażenie stanem dzisiejszej polityki krajowej i zagranicznej. Krytykują niefrasobliwość polityków, którzy lekką ręką wpędzają Polskę w gigantyczne tarapaty. To jest autentyczna samowolka, rujnowanie relacji międzynarodowych, rozdrapywanie wszystkich możliwych ran, napędzanie antagonizmów, budzenie demonów przeszłości, i to tych najgorszych, które są dobrze znane z dwudziestolecia międzywojennego, karmione antysemityzmem, nacjonalizmem i rasizmem.

Moi rozmówcy nie godzą się, żeby w ich imieniu napędzać tę spiralę nienawiści. Choć ewidentnie pamiętają wojenne cierpienia i upokorzenia, nie chcą zemsty, mówią wprost: chcemy pojednania. Nie można żyć zawsze w poczuciu krzywdy. Nie będziemy zdrowym społeczeństwem, jeśli nie spróbujemy iść dalej. **Czy w takim razie przeżywcy czują się wykluczeni? To oni są najbardziej kompetentni, żeby mówić o konfliktach, a nikt ich nie słucha.**

- Jest jakaś wielka zbiorowa nieczułość i obojętność wobec nich. Oni mają ogromne doświadczenie życiowe i intuicję, której my nie potrafimy dzisiaj słuchać. Niewątpliwie chcą nas uczyć. Podczas pracy nad książką widziałam, że traktowali ją jako formę świadectwa, ale też

rodzaj przestrogi i przewodnika, jak poradzić sobie w skrajnych sytuacjach. Radzili mi - i czytelnikom - jak obklejać szyby w razie bombardowań, jak dzielić porcję jedzenia, jak się pakować, jak się zachowywać wobec wroga.

Przestrzegają zwłaszcza, że wojna to nie jest zabawa, jak się niektórym wydaje. To nie jest także czas wyrównywania przez zwaśnione strony rachunków i emancypacji marginalizowanych jednostek. Wojny się nie przeżywa. Jeśli się ją cudem przeżyje fizycznie, i tak nie sposób ocalić tego, co w czasie pokoju uważamy za oczywiste: bliskich, domu, dobytku. Co więcej, fizyczne przeżycie nie jest jednoznaczne z ocaleniem psychicznym. Ludzie podczas wojny dziczeją. I wszystko wskazuje na to, że myśmy jako społeczeństwo z tego stanu zdziczenia do dziś nie wyszli. Ile zatem zajęłoby nam kuracja po obecnych podziałach i potencjalnych konfliktach?

Moi bohaterowie - nazywam ich polskimi pionierami - po wojnie zaczęli od zera, nie mieli dachu nad głową, ubrań, dowodów tożsamości, rodzin, pieniędzy, niczego. Stopniowo dzięki ciężkiej pracy zyskiwali środki do życia. W czasie wojny nastąpiło totalne zerowanie. Ci ludzie często mówią, że ztratili także uczucia i podstawowe wartości, jak zaufanie, szczerłość, przyjaźń. Niektórzy twierdzą, że chociaż minęło ponad 70 lat, nie zdołali się pozbierać, nie potrafią się przyjaźnić, kochać, są wyobcowani. Obserwowałam, jak ciężko jest im wchodzić w nowe relacje, są skryci, samotni. To także jest część wojny. Wojna nadal trwa w ich ciałach i umysłach.

Kiedy ich słucham, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że również obecny stan polskiej wspólnoty jest jednym ze skutków II wojny światowej. Żyjemy w atmosferze upokorzeń, krzywd,



przemocy, w ciągłym poczuciu zagrożenia, że ktoś nam zabierze to, co nasze. Zresztą obecni politycy umiejętnie podsycają te niepokoje. Trwamy w poczuciu resentymetu, że inni są od nas silniejsi, w poczuciu niezrozumienia, że nikt - zwłaszcza tzw. zagranica - nie pojmuje skali naszych cierpień. Rzeczywiście trudno jest zrozumieć tę naszą samozapętającą się, chaotyczną narrację, która jest belkotliwą mową bólu.

Rozmowy z przeżywcami uświadomiły mi, że nie wypracowaliśmy języka, którym moglibyśmy opowiedzieć, co spotkało Polaków podczas okupacji i za czasów komunizmu. Minęło 70 lat, a my nie potrafimy w spokojny, wyważony sposób mówić o tym, co się wydarzyło. Oczywiście taką ekspresję utrudniała komunistyczna cenzura, ale co po 1989 r.? Szybki postęp, konsumpcja, bieżące wyzwania polityczne i kulturowe zupełnie przesłoniły pozornie nieaktualne potrzeby przeszłości. A II wojna odbija nam się czkawką do dzisiaj.

**Czyli pisała pani książkę także po to, by ta wojna wreszcie się zakończyła?**

- My żyjemy z naszymi i cudzymi upiorami, co samo w sobie jest chyba naturalne. Problem tkwi w tym, że nie potrafimy tego zaakceptować. I tu rysuje się jeszcze inna ważna kwestia: napięcie między Auschwitz i „Oświęcimem” jako polskim symbolem; między Zagładą i polskim doświadczeniem bez nazwy.

## Przeżywcy krytykują niefrasobliwość polityków, którzy lekką ręką wpędzają Polskę w gigantyczne tarapaty. To jest autentyczna samowolka, rujnowanie relacji międzynarodowych, budzenie demonów przeszłości. I to tych najgorszych

Jeden z bohaterów mojej książki, pan Stefan Lipniak, wypowiedział dziwne słowa: „Zadzroszczę Żydom Holokaustu”. Mogło się wydawać, że to przejaw skrajnie antysemickiej postawy: zazdrości się Żydom wszystkiego, nawet tego. Lipniak jednak doprecyzował, że zazdrości Żydom terminu „Holokaust”, gdyż jest jednoznaczny, prowokuje oczywiste skojarzenia.

Ten przypadek świadczy o bardziej generalnym polskim kompleksie pamięciowo-tożsamościowym, który jest przez nas odczuwany, ale wciąż niewerbalizowany wprost. To jest właśnie niemożność nazwania doświadczenia, które podczas okupacji podzielała znacząca grupa Polaków. Prawidłowość ta dotyczy nie tylko byłych więźniów i więźniarek, ale też ich dzieci czy wnuków, a także szerszych kręgów społeczeństwa, które przez kilka lat żyło w strachu przed przemocą, utratą majątku, trafieniem do obozów. Chodziło o przetrwanie własne i swoich najbliższych, nie mam złudzeń, że w większości przypadków nie były to altruistyczne pobudki i potrzeba ratowania innych, zwłaszcza Żydów.

Kontekst wypowiedzi Lipniaka wskazuje, że mamy do czynienia z poczuciem wydziedziczenia z pamięci, z przeświadczeniem o nieustabilizowaniu własnej pozycji grupowej w polu symbolicznym. Brak nazwy dla tego doświadczenia czyni je niezauważalnym, wszak to, co nienazwane, nie istnieje.

Terminologiczny impas marginalizuje ofiary w naszej świadomości, a zarazem utrudnia pamiętanie i ściepła wrażliwość. Zatem według Lipniaka z jednej strony mamy terminy „Holokaust” czy „Shoah”, z drugiej, polskiej - nie mamy nic. Nazywamy ludzi, którzy przeżyli obozy, „byłymi więźniami”, ale to zakłada jakąś wi-

nę, a przecież to byli ludzie niewinni. Mówimy „niewola”, „okupacja”, „obozy”, ale to wszystko nie jest charakterystyczne.

Nawet nazwy związków zrzeszających tych ludzi są tasemcowe, niepraktyczne. Na przykład: Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Wielosłowie, które ma zastępować brak wspólnego mianownika. Mnogość, rozproszenie związków, klubów i stowarzyszeń wskazuje na generalne podziały w tych środowiskach, ale też świadczy o tym, jak bardzo brakuje nam adekwatnych pojęć.

**Czy po tej wypowiedzi pana Lipniaka inni byli więźniowie reagowali, mówili, że to im się nie podoba? Jakie były reakcje na wywiady, które pani przeprowadziła?**

- Nie było skrajnych reakcji, raczej refleksja. Choć też nie było wielkiej dyskusji - ci ludzie są tak poranieni, że nawet gdy spotykają się w klubach, np. w klubie Auschwitz, raczej nie rozmawiają o przeszłości. Mówi się przede wszystkim o tym, co bieżące: o topniejących ulgach na leki, zmniejszeniu rent i emerytur, problemach zdrowotnych.

**Te kluby to interesująca kwestia. One właściwie istnieją po to, żeby klubowicze mogli mieć wytchnienie od myślenia o wojennej przeszłości? Spotykają się w swoim gronie, żeby móc być z ludźmi, którzy przeżyli to samo...**

-...nie mówić o tym. To bardzo ciekawa grupa społeczna. Ci ludzie w obiegowej opinii kojarzą się z kombatanctwem, starością, niedołężnością, patetycznymi czy dla odmiany prząśnymi uroczystościami. Ale są też kojarzeni z pewną pychą, postawą roszczeniową i nieatrakcyjnym opowiadaniem.

Polscy przeżywcy są niemodni - nie czarujmy się. Są marginalizowani w sferze publicznej, wykorzystuje się ich tylko przy okazji, a najczęściej nie pamięta się o ich istnieniu. Ale kiedy spotykałam ich na ulicach Krakowa, okazywało się, że wciąż funkcjonują: w parku, przychodni, aptece, warzywniaku. Wciąż tu są - żywe archiwa historii.

Rozmowa z nimi była pasjonującym doświadczeniem. Ciekawa okazała się fuzja perspektywy, pamięci, porządków - mogłam siedzieć na ławce na Plantach z kimś, kto z kolei siedział cztery lata w obozach, w tym w Auschwitzu, dwukrotnie uciekał, a później na dokładkę przez półtora roku walczył z oddziałami UPA w Bieszczadach. Kontakt z człowiekiem, który zmieścił w swojej biografii i w niepozornym ciele taką rozpiętość doświadczeń, prowokuje do zmiany postawy wobec drobnych trudów codzienności. Złazacza jeśli się widzi, że o takim poharatanym życiu można dziś mówić pogodnie.

Czasami przeżywcom brakowało słów, by oddać skalę wojennych przeżyć. Świadczyli wówczas ciałem, przyjmowali pozy, wcielali się w różne role, czasami krzyczeli lub płakali. Na przykład próbowali własnym ciałem pokazać mi, jak wyglądał i zachowywał się obozowy muzułman. Staralam się w zapisie tych spotkań zaznaczyć ich reakcje, zmiany tembru głosu, wyraz twarzy i gesty. Intensywność tych rozmów uświadomiła mi siłę i sprawczość świadka, który całym sobą zaświadcza o minionym, tak bardzo angażując się w tę opowieść i przypominając cieleśnie odczucia z przeszłości. Trzeba tamte sytuacje poczuć, by zrozumieć. Bo kto wie, może ostatni świadkowie są dla nas ostatnią szansą, by czynnie zainteresować się historią wojny?

Grupa przeżywców kureczy się błyskawicznie. Cieszyli się, że wraz z publikacją staną się bohaterami, ktoś powie o nich w mediach. Za późno już na emancypację tych osób, ale warto się starać o rewizję ich wizerunku i spróbować pokazać ich losy dotąd przysłonięte przez cień Zagłady.

Ci ludzie nigdy nie mieli okazji poczuć się swobodnie ze swoimi narracjami, zawsze byli instrumentalizowani - najpierw represjonowani przez komunistów albo włączani w oficjalny obieg polityki pamięci i wykorzystywani jako materialne dowody na skalę niemieckiej zbrodni. A po 1989 r. umocniła się społeczna niechęć do kombatanów, bo utożsamiano ich albo z polityką i stylistyką peerełowską, albo z etosem prawicowo-patriotycznym. Okazało się, że nie ma dla nich miejsca

na poziomie faktów ani na poziomie społecznej akceptacji i zainteresowania badawczego. Studia nad pamięcią skupiały się na figurze żydowskiej ofiary, co zresztą także było potrzebne. Nawet środowiska prawicowe nie poddają rzetelnej analizie losów polskich przeżywców.

Kiedy Lipniak stwierdza, że nie potrafiliśmy nazwać tego, co nas spotkało, i konfrontuje ten brak z terminem „Holokaust”, to w istocie nie deprecjonuje perspektywy żydowskiej, ale krytykuje opieszałość, brak zainteresowania polskiej wspólnoty.

**Czy istnieje zatem konflikt między byłymi więźniami polskimi a żydowskimi?**

- Chyba nie można mówić o konflikcie, to jest skrajny brak relacji, wymiany doświadczeń, spotkań. W Krakowie polscy przeżywcy spotykają się przy ul. Dietla, żydowscy ocaleni kilka ulic dalej. Te dwie grupy niczego o sobie nie wiedzą.

Zresztą ten problem rozpoczął się już w momencie wyzwalania obozów, zwłaszcza Auschwitz-Birkenau, ze względu na tryb funkcjonowania tego obozu jako epicentrum niemieckiego ludobójstwa w polskiej, ale i międzynarodowej opinii publicznej. Bardzo szybko po wyzwoleniu pojawiła się retoryka uniwersalizowania i pomniejszania przede wszystkim żydowskich i romskich ofiar - i zwielokrotniania polskich. Ta oficjalna wersja historii wpłynęła na przeżywców, widać to w powstających wtedy świadectwach. O wielu kwestiach bali się wspominać, być może też z tego powodu często pomijali wątek swojego świadkowania eksterminacji Żydów. Poza tym nikt na te opowieści nie czekał.

Zdarzało się także, że ci, którzy jednak decydowali się świadczyć, dostosowywali się do oficjalnej partyjnej narracji. To dużo bardziej złożone, niemniej doszło w PRL-u do zasadniczej marginalizacji zagłady Żydów i Romów oraz unifikacji doświadczenia obozowego różnych grup etnicznych, które nie miało miejsca w rzeczywistości. Wszystko to doprowadziło do stanu, w którym polscy przeżywcy nie odczuwali realnej potrzeby dalszej specyfikacji swojego statusu.

W peerełowskiej monokulturze pamięci bezprzymiotnikowe doświadczenie obozu było jednoznaczne i czytelne. Nie można było mówić o jakiegokolwiek konkurencji pamięci. Ten stan umacniały też literatura na temat okupacji i edukacja szkolna. Izolacja społeczeństwa doprowadziła do braku konfrontacji z nosicielami przeciwpamięci, grupa identyfikująca się jako polskie ofiary niemieckich represji nie miała odniesienia do znaczącej inności, której można by przeciwstawić swój repertuar doświadczeń i form upamiętnienia.

Właściwie dopiero w latach 80., przy okazji konfliktu o klasztor Sióstr Karmelitanek w Oświęcimiu, na większą skalę ukazywały się Polakom podstawowe fakty: Auschwitz nie jest wyłącznie polskie, jest dla Żydów symbolem zagłady ich narodu podczas II wojny, a Żydzi byli największą grupą jego ofiar.

Gdy śledzi się prasę z tego czasu, widać, że wcale nie było to wówczas dla Polaków oczywiste. Ostatecznie odkłamywanie statystyk zbiegło się ze zmianami ustrojowymi. Skala dotychczasowych zafalszowań była ogromna, więc nowe informacje publikowane w prasie, także w „Wyborczej”, wydawały się wielu Polakom nieprawdziwe.

W krótkim czasie doszło zatem do radykalnych przeobrażeń w obowiązującej narracji. Okazało się, że „Oświęcim”, miejsce pamięci dotąd jednoznacznie utożsamiane z polską martyrologią, funkcjonuje na całym świecie jako „Auschwitz”, a wokół jednej, tej samej przestrzeni ogniskują się różne pamięci i rytuały. Kolejne konflikty, np. walka o krzyż na terenie Auschwitz-Birkenau, wiązały się ze sprzeciwem wobec polonizacji i chrystianizacji obozu. Nie uważam, by te pamięci były konkurencyjne czy antagonistyczne, one się uzupełniają. Ale dla wielu przeżywców zmiana narracji była nie lada wyzwaniem.

**Istota pani książki polega na tym, że historie są „rwane”. Nie ma pewności, czy bohaterowie zawsze mają rację. Czy były głosy twierdzące, że ta próba odkłamywania historii jest w istocie zakłamaniem?**

- Nie chcieliśmy pisać historii na nowo. Chodziło właśnie o rwane opowieści, niedoskonałe, naznaczone pogarszającą się pamięcią bohaterów. Ale to było dla mnie najważniejsze - zarejestrować, kim są dziś, co pamiętają, jak chcą o tym opowiadać. Poza tym nie dostrzegam tam jakichś większych nieścisłości historycznych.

**A czy pani rozmówcy awansowali w wewnętrznej strukturze klubów po publikacji tej książki? Stali się autorytetami?**

- Raczej nie można mówić o skoku w hierarchii poobozowej i klubowej. Niewątpliwie to było dla nich wyróżnienie - czekali na tę książkę. Mówili: „Byle tylko dożyć tego momentu”. Ewidentnie zyskali w oczach dzieci, wnuków, rodziny. Nagle opowieści rodzinne okazały się atrakcyjne dla kogoś z zewnątrz. O to też chodziło - żeby docenić tych ludzi, spojrzeć na nich inaczej.

**Czy pani rozmówcy dzwonili do pani, przychodzili, mówili, że jeszcze by coś dodali, dopowiedzieli? Albo może przyznawali, że coś zmyślił?**

- Wydaje mi się, że mieli poczucie gry o wielką stawkę. Wiedzieli, że to ostatni moment, by móc dać świadectwo. Wielu z nich nigdy wcześniej nie miało okazji, by opowiedzieć swoją historię - musieliśmy więc razem w dość bolesnym procesie wypracować ich sposób świadczenia. Byłam chyba akuszerką tych opowieści. (śmiech)

Ci ludzie mają po 90, 95, 100 lat. Mają przeświadczenie, że trzeba się spieszyć. Często przyznawali, że opowiadają o czymś po raz pierwszy. Wcześniej się bali, krępowali. Teraz odważyli się mówić np. o erotyce obozowej, o obserwowanych doświadczeniach homoseksualnych w obozach itd.

Być może otwierali się ze względu na różnicę wieku między nami, dzieliło nas, powiedzmy, 60 czy nawet 70 lat. Mieli poczucie, że jestem kimś z innego świata i że te rozrachunki, które ciąży im w grupie byłych więźniów, w relacji ze mną tracą na znaczeniu. Chętnie świadczyli także o stosunkach polsko-żydowskich, o świadkowaniu Zagładzie. Okazało się, że to jest bardzo ważny wątek ich opowieści, przez lata niewerbalizowany.

Bardzo nasze rozmowy przeżywali, niektórzy je odchoryowali. Niekiedy nie byli w stanie kontynuować naszych spotkań, odzywali się np. dopiero po kilku miesiącach. Inni zrezygnowali z udziału w przedsięwzięciu, np. Karol Kowalski, który jako kilkulatek był więziony w łódzkim obozie dla dzieci. Jego przeżycia nie mieszczą się w dzisiejszej wyobraźni, rozrywają wrażliwość. Mimo że bardzo mi pomógł w organizacji pracy z innymi przeżywcami, sam nie był w stanie mówić. Ten brak jego opowieści jest dla mnie najbardziej dojmujący.

**A ilu osobom udało się doczekać książki?**

- Z tego, co wiem, z moich rozmówczyń umarła tylko Halina Krzymowska. Z niektórymi osobami jestem w kontakcie, to też jest dla mnie bardzo ważne.

Ci ludzie mogli nie zaakceptować tej książki, uznać, że czegoś istotnego nie powiedzieli lub powiedzieli za dużo. Tymczasem przyjęli ją z zainteresowaniem i spokojem, jestem im za to wdzięczna. Kiedy przychodzili na spotkania autorskie z rodzinami, dziećmi, wnukami, prawnukami, miałam wrażenie, że udało się choć na chwilę stworzyć wspólnotę wymiany międzypokoleniowej. O to chyba chodziło przede wszystkim: żeby poruszyć zastany obraz przeszłości. ●

TYTUŁ WYWIADU OD REDAKCJI

**\*DR AGNIESZKA DAUKSZA - pracuje w Katedrze Antropologii Literatury i Badań Kulturowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka książki „Klub Auschwitz i inne kluby. Rwane opowieści przeżywców” (słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2016)**



Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](http://Wyborcza.pl/magazyn)